

Kulturalnie

FILMOWO

GRZEGORZ DAMIĘCKI

– ur. w 1967 r. w Warszawie. Syn reżyserki Barbary Borys-Damięckiej i aktora Damiana Damięckiego, wnuk aktorów Ireny Górskiej-Damięckiej i Dobiesława Damięckiego, brat stryjeczny aktorów Mateusza i Matyldy Damięckich. Absolwent warszawskiej PWST, od początku kariery aktor warszawskiego Teatru Ateneum



Nigdzie się NIE UKRYWAŁEM

Czas potrafi być okrutny dla aktorek, o wiele łagodniej obchodzi się z mężczyznami. Nagle obiektyw zaczyna kogoś kochać, kogoś innego porzuca. Ale ja się do tego nie przywiązuję

rozmawia MAJA STANISZEWSKA



Miewa pan ataki paniki?

– Miewam, ale o nich nie będę opowiadał, bo na samą myśl tracę grunt pod nogami.

Zdarzyło się panu, że nie wyszedł pan na scenę czy na plan?

– Miałem wolny wieczór, wybraliśmy się całą rodziną na wernisaż do Muzeum Karykatury. Wyłączyliśmy telefony. W domu żona pierwsza włączyła swój i zbladła. Myślałem, że ktoś umarł. Zapytałem, co się stało. Nikt się nie mógł do mnie dodzwonić – miałem spektakl i zawałem. To było „Zaświadczenie o inteligencji” według tekstów Jerzego Dobrowolskiego. Na scenie tuż – Kociniak, Fronczewski. Oni byli, publiczność była, gówniarza nie było. Zrealizował się jeden z upiornych snów, jakie miewają artyści. Dyrektor Gustaw Holoubek, mój profesor i mistrz, wezwał mnie na rozmowę do gabinetu, ale tylko na mnie spojrzał i stwierdził: „Ja pana nie będę karał, bo pan na pewno sam już siebie ukarał”.

Dyrektor Holoubek jednak na początku musiał pana nieco utemperować...

– Chwilę po szkole teatralnej trafiło mi się nagle zastępstwo w „Zemście” reżyserowanej właśnie przez pana dyrektora. Grałem jednego z murarzy, miałem jedną kwestię, próby się odbyły pomyślnie, dostałem kostium, wieczorem miałem mieć własną premierę. Żeby się dodatkowo zaznaczyć, postanowiłem zmienić sposób mówienia na „warszawski”, co w „Zemście” – klasycznej,

robionej m.in. dla szkół – było zupełnym szaleństwem. Zrobiłem też sobie przerysowaną charakterystykę i tak wystąpiłem. Po spektaklu pan dyrektor mnie poprosił i powiedział: „Synu, na rany Chrystusa, zlituj się!”. Następnego dnia grałem już normalnie. Pan Gustaw jest moją latarnią, wszystkie wskazówki praktyczne, które mi się w życiu zawodowym sprawdziły, pochodzą od niego.

Ma pan jego zdjęcie na lustrze w teatralnej garderobie. Patrzy z niego dosyć groźnie.

– Tak, patrzy dość groźnym wzrokiem i mnie mobilizuje. Obok mam zdjęcie mego dziadka, zresztą na scenie tego teatru, w „Amfitrionie” w 1936 roku. Teatr to mój drugi dom, kocham to miejsce, zwłaszcza Ateneum jest mi bliskie. Jestem tu 26. sezon. Jako licealista przychodziłem na wybitne przedstawienia z czasów dyrekcji Janusza Warmińskiego, słynne na całą Warszawę, takie jak „Hemar”. Gdy dostałem się do szkoły teatralnej, marzyłem, by kiedyś wejść na scenę z Janem Świdorskim, Aleksandrą Śląską, Marianem Kociniakiem... Udało się – jeszcze w szkole zadebiutowałem w towarzystwie wspaniałych artystów, z którymi potem pracowałem. Z panem Leonardem Pietraszką przez 15 lat byłem w jednej garderobie, podpatrywałem go, uczyłem się techniki i chłonałem kapitalne opowieści.

Jak się pan czuje w 26. sezonie pracy w Teatrze Ateneum, kiedy czyta pan w internecie nagłów-

ki: „Gdzie się pan ukrywał?” albo: „Grzegorz Damięcki wyszedł z cienia rodziny”?

– Nigdzie się nie ukrywałem, byłem przez dwadzieścia parę lat dostępny, tylko ten zawód – znowu wraca pan Gustaw – ten zawód potrafi być okrutny. Mówił, że aby w nim wytrwać, „trzeba mieć migotliwość motyla, ale skórę słonia”. Przez te wszystkie lata dopracowywałem się skóry słonia. Louis de Funès był aktorem teatralnym, niezbyt znanym, aż nagle w wieku 50 lat zagrał w dwóch filmach i świat o nim usłyszał. Czas potrafi być okrutny dla aktorek, o wiele łagodniej obchodzi się z mężczyznami. Nagle obiektyw zaczyna kogoś kochać, kogoś innego porzuca. Ale ja się do tego nie przywiązuję. Nigdy nie pozostawałem w niczym cieniu, sam też nigdy cienia nie rzucałem na nikogo w rodzinie. Między mną a moim kuzynostwem jest przepaść wiekowa, nawet gdybyśmy chcieli, nie stanowilibyśmy dla siebie zagrożenia zawodowego. Ja się w ogóle nie posługuję tymi kategoriami. Pan Gustaw mawiał, że aktorstwo to jest partnerstwo, a nie współzawodnictwo.

A co z karierą?

– Nigdy nie zrobiłem tzw. kariery, nigdy nie leciałem ze szczytu na ryj. Wierzę, że cały czas się rozwijam, że będę się rozwijał do śmierci i że się nie rozwinę w pełni. Chwilo-wo jest zainteresowanie, ale to się może za chwilę skończyć. Ważne, żeby mieć do czego wrócić. Teatr jest punktem, z którego myśląc »

o moim zawodzie, zawsze startuję i do którego zawsze wracam. W filmie czy serialu pada ostatni kłaps, praca na planie się kończy, materiał trafia w ręce montażysty, już w tym momencie nic ode mnie nie zależy. Teatr to zupełnie inne medium. Tu we wtorek można zagrać tak, a w środę – inaczej.

Wracając do tych różnych nagłówków prasowych, ja ten szum, oczywiście, rozumiem, bo żyjemy w świecie gladiatorów – potrzebne jest cały czas świeże mięso. Fajnie jest o kimś napisać „objawienie”, „nowy talent” czy „wyszedł z cienia” albo „słaby”, „skończony”, „upadły”. Za chwilę każde szaleństwo się kończy i jak się człowiek za bardzo przywiąże do medialnych zachwyty, to może mu się zrobić nagle przykro. Pan Gustaw mówił, żeby nie przynosić do teatru recenzji, bo w każdej, najlepszej nawet, ktoś zostanie pochwalony, a ktoś inny pominięty, i to nie działa dobrze na zespół. Poza tym dziś cię chwala, a jutro rugają, czasem nawet mieszają z błotem. I czego masz się trzymać? Która z prawd jest prawdziwa? Korzystam z mądrej rady – nie przywiązuję się do tego, co o mnie piszą.

Jednak bum na pana to akurat prawda - dwie premiery kinowe w ciągu tygodnia, główna rola w powstającym serialu „Nielegalni”, jesienią ubiegłego roku w drugim sezonie „Watahy”. A minął zaledwie rok od pierwszego sezonu „Belfra”, w którym jako Grzegorz Molenda przykuł pan uwagę nie tylko tytułowego bohatera, ale także widzów i producentów.

– Zrobił się festiwal...

W obu filmach gra pan z Magdaleną Popławską. Wasze sceny w „Ataku paniki”, wydawałyby się proste sceny rozmowy przy stoliku w restauracji, są hipnotyzujące.

– „Atak paniki” to opowieść o tym, jak drobne, z pozoru nieznaczące decyzje, których na ogół nie zauważamy (czekając na coś spektakularnego, co wystrzeli nas na orbitę), dodane do siebie prowadzą do wielkiego szczęścia. Albo wielkiego nieszczęścia. Mój bohater właśnie coś przegapił. Co będzie, kiedy zda sobie z tego sprawę? Czy wykorzysta szansę? Czy dopiero jak kogoś straci, pojawi się świadomość, jak ważna była to strata. Odczuwa pustkę. Tak bywa w dogasającym związku, ale nie tylko. Dotykam tego jako ojciec i jako syn. Lata całe bywałem okrutny w stosunku do moich rodziców. Zupełnie bezrefleksyjnie. Kiedy się rozstali, wszystko przepuszczałem przez swój pryzmat. Tylko: ja, ja, ja i ja. Ja byłem najważniejszy. Ja najbardziej cierpiałem. A te-



W wielowątkowej komedii obyczajowej „Atak paniki” Grzegorz Damięcki gra większą rolę, niż się na początku wydaje

raz sam mam dzieci i czuję się czasem dość okrutnie przez nie traktowany, choć są w takim wieku, że jeszcze nie zadają ciosów świadomie. Kocham i wybaczam, ale drobne ciosy boją. Widzę, jak przeszłość wpływa na teraźniejszość. To jest w tym filmie – sprawy, które zostały pominięte, tak narosły, że już nie da się wrócić, nie da się naprawić. Można tylko próbować jakoś rzecz zakończyć, i to wszystko. A mogło być tak pięknie. Dlatego w życiu łączywie kolekcjonuję wszystkie najdrobniejsze „dobrości”, jak mawiała moja córka.

À propos rodziny - Stefania Grodzieńska powiedziała o pana babce, Irenie Górskiej-Damięckiej: „Ta wielka aktorka wydaje z siebie coraz to nowe pokolenia doskonałych aktorów. Najpierw Damian i Maciej, teraz Grzegorz i Mateusz. Nie mogę się doczekać jej prawnuków”. Pana dzieci zostaną aktorami?

– Na razie ich to nie interesuje. Sam do ostatniej chwili nie wiedziałem, co będę robił. Decyzję o zdawaniu do szkoły teatralnej podjąłem nagle. Wiem, że spowodowała u rodziców kompletną panikę i pomieszenie. Ojciec patrzył z zainteresowaniem, zastanawiał się, czy wykaże się jakimkolwiek talentem. Matka była sceptyczna, patrzyła na aktorów z reżyserskiej perspektywy. Czy to jest dobry zawód na dzisiejsze czasy? A jaki jest dobry? Aktorstwo bywa narkotykiem i mało kto chce potem zrezygnować. Jest też wiele ciemnych stron. Bardzo ciemnych.

Na przykład?

– Poczucie lepszosci. Albo gorszosci. Pycha. Niespełnienie. Niehigieniczny tryb życia, który mocno dotyka mężczyzn.

Dlaczego mężczyźni?

– Bo mężczyźni tylko pozornie są silniejsi. Naprawdę są krusi, słabi. Jeśli nie mają u swojego boku silnej, kochającej osoby, aktorstwo potrafi ich spustoszyć. Wiąże się

z wszelkiego rodzaju niezdrowymi przygodami, wyjazdami, alkoholem, nieregularnym jedzeniem, wreszcie z nudą. Z mnóstwem rzeczy, które w połączeniu z kryzysem wieku średniego mogą dać bardzo złe owoce. Wielu bardzo zdolnych ludzi ten zawód po prostu rozjechał. I tego dzieciom chciałbym oszczędzić. Ale z drugiej strony może im się przytrafić mnóstwo metafizyki. I wspaniałych ludzi. Ten zawód bywa misyjny, bywa, że uzdrawia, realizuje wielkie idee i małe radości. Pomaga innym żyć.

Zdecydował się pan na egzamin do szkoły teatralnej w ostatniej chwili, wcześniej złożył teczkę do Akademii Sztuk Pięknych. Tam pan w końcu nie dotarł?

– Złożyłem teczkę do ASP, została dobrze oceniona i przyjęta. Złożyłem też dokumenty do PWST, do której egzamin był nieco wcześniej. Jego pierwszy etap poszedł mi tak dobrze, że na ASP już nie dotarłem. Byłem zdziwiony, że się dostałem, bo nie rwałem się do występowania, nie recytowałem wierszy na akademiach, a na spotkaniach towarzyskich nie zbierałem wokół siebie słuchaczy, by ich czarować. Wręcz miałem z tym problemy. Moje pierwsze wielkie uczucie, fala miłości, którą poczułem do koleżanki z podstawówki, objawiała się tym, że na jej widok odbierało mi mowę. Wszyscy wiedzieli, że się w niej kocham, nawet ona, ale nikt nam nie mógł pomóc, bo mnie paraliżowało po prostu. Aż w końcu kiedyś poprosiłem ją do tańca. I zapytałem, jakie zna marki samochodów...

Znała jakieś?

– Tak: Wartburg, Żuk, Nysa, Fiat. Taniec nam się strasznie dłużył. Kiedy się spotkaliśmy po latach, śmialiśmy się z tego, wspominaliśmy to z czułością, okazało się, że ja też nie byłem jej obojętny. A w szkole teatralnej nie byłem wybijającym się studen-

tem, do dziś czuję potrzebę doskonalenia się, zgłębiania tajników. I póki mnie interesuje grzebanie się w ludzkich charakterach, będę aktorem.

A kiedy pana przestanie interesować?

– Otworzę antykwariat. Będzie się nazywał Garaż Płyt i będzie miał neon z płytą kręcącą się w literce G. Będzie w nim dobra kawa i coś do jedzenia, gramofony, wygodna kanapa i będzie można słuchać płyt winylowych. I będą przychodzili bardzo młodzi ludzie, dla których Bob Marley, Janis Joplin czy Miles Davies będą objawieniem. A ja będę szczęśliwy, że właśnie u mnie dokonali tego odkrycia.

Nie może pan teraz tego antykwariatu otworzyć?

– Chwilowo nie mam czasu. Dobrze, że jest praca, bo jest na kogo pracować. Jest nas piątka plus kot. Balkon może utrzymać pięcioosobową rodzinę, aktor teatralny – nie.

Cały czas mieszkacie na Żoliborzu, na którym pan się wychował?

– Próbowaliśmy wynieść się dalej, ale się nie dało. Tu mamy przyjaciół, sklepiki, kawiarnie, bukinistę, dzieci – place zabaw, przedszkole, szkołę ukochaną. Jestem z dziada pradziada żoliborzaninem.

W drugim pana styczniowym filmie, „Podatku od miłości”, pana bohater wygłasza dość paskudną tyradę o słoikach – przyjezdnych, którzy zjawiają się w Warszawie po pracę. Nie jest panu trochę wstyd za niego?

– Mój bohater jest złośliwy, ale widzę dzięki temu odczuwa większą satysfakcję, kiedy on potem wpada w tarapaty. Podoba mi się w tym filmie, że jest tak właśnie poukładany. Są w nim różne tony, ale wszystko rozwija się logicznie jak w mojej ulubionej komedii romantycznej „Cztery wesela i pogrzeb”. W tym filmie jest dużo dobrych emocji.

Przyznaję, że „Podatek...” mnie zaskoczył.

– Bo polska komedia romantyczna jest z grubsza o dupie i cyckach? Ta nie jest. Opowiada o inteligentnych, życiowo doświadczonych ludziach. Główny bohater wchodzi w kryzys wieku dojrzałego, jest przekonany, że nic dobrego go już nie spotka. A to raczej rzadko lansowany motyw w polskiej komedii. W angielskiej nie, tam tego typu bohater święci triumfy. „Podatek od miłości” daje ludziom po przejściach możliwość zobaczenia, że życie może się jeszcze ułożyć. Że się ryba zakocha w jeżu. Nie wiadomo, gdzie zbudują dom, ale czy

w tym momencie to jest ważne? Ten człowiek właśnie na nowo się zaczyna na naszych oczach.

Jest pan nie tylko żoliborzaninem, ale też chłopcem z dobrego domu: mama reżyser, tata aktor, jedni dziadkowie aktorzy, drudzy mieszkający w Stanach. Jeździł pan do nich na wakacje – mało który peerelowski nastolatek miał taką szansę.

– Okupione to było za każdym razem wyrzeczeniami, a gdyby nie pomoc dziadków, nigdy nie byłoby nas stać. Rodzice nie piełnili się po szczeblach kariery partyjnej, pracowali ciężko w swoich zawodach, a mieszkaliśmy w bloku. Nasza uliczka była nietypowa – z jednej strony bloki z lat 60., a z drugiej małe domki z chlewikami i stajniami, pompy obwiązywane słomą na zimę, sady, pola kapusty. No i konie, bo mieszkali tam wozacy i dorożkarze. Biegałem do zmroku po dworze, często dostawałem po głowie za nieodrobione lekcje, miałem pozdzierane łokcie i kolana. Było cudownie. A Ameryka to był zupełnie inny świat. Matce mojej bardzo zależało, żebym tam jeździł naładować akumulatory, poduczyć się języka i najeść za wszystkich. Z Ameryki przywiozłem muzykę. Kuzyn, mieliśmy wtedy 14-15 lat, zabrał mnie na pierwsze koncerty. Tam młodzież szybciej dojrzewała. Przywiozłem pierwsze płyty, z którymi potem obskakiwałem wszystkie domówki – Sex Pistols, Boba Marleya, Minimal Compact, Joy Division. Tańczyliśmy do Nowej Fali i punka, to było w Polsce coś zupełnie nowego, prosty przekaz, prosta energia. Pod wpływem tych wszystkich zespołów zrobiłem sobie irokeza, nauczycielka od łaciny nie chciała mnie wpuścić na lekcje. Robiliśmy sobie koszulki z napisem: „No Future” czy „Punk’s Not Dead”, i dziurawiliśmy spodnie. Za wódkę dostawało się od żołnierzy z jednostki wojskowej na Bemowie skórzane kurtki czy buty wojskowe. Bez przerwy mieliśmy jakieś kłopoty, bez przerwy nas milicja zgarniała. Sądzę, że mo-

ja kartoteka w komisariacie przy Żeromskiego była całkiem pokaźna. Gdy wybuchła „Solidarność”, na długich przerwach siedzieliśmy ubrani na czarno na korytarzach, a nauczyciele rozganiali nas do klas, żeby się nie gromadzić. Bardzo wnikliwie cenzurowali też teksty naszych piosenek, bo wtedy właściwie w każdym roczniku w liceum był jakiś zespół. Mój się nazywał Lawa, grał Nową Falę z tekstami buńczucznymi, pełnymi sprzeciwu. Rodzice byli wielokrotnie wzywani do szkoły na rozmowy wychowawcze. Ale mój ojciec sam drukował podziemną prasę – „Kosa”, pismo z wiadomościami z Radia Wolna Europa kolportowane w zakładach pracy i w teatrach warszawskich. Nakład ukrywał w tapczanie, na którym spałem.

Tymczasem pana mama robiła program, który miał wychowywać młodzież, który wychowywał mnie, czyli „5-10-15”. Jak czuli by się rodzice dzieciaków siedzących przed telewizorami, gdyby wiedzieli, że syn reżyserki programu biega w podartych spodniach z irokezem na głowie i wciąż jest spisywany przez milicję?

– Ale tak to zwykle jest, że się dzieci wymykają rodzicom spod kontroli. Moi bardzo dużo pracowali, spędzałem więc czas najpierw pod opieką Tereski, cudownej dziewczyny, którą mama przywiozła ze wsi nad Wigrami i która bardzo nam pomagała, a potem na podwórku. Jak mówię, że wychowała mnie ulica, to moja żona się wścieka. Ale dużo w tym prawdy. Słowo „anarchia” do dziś brzmi słodko.

Znał pan też jednak śmietankę artystyczną Warszawy.

– Moja mama dbała, żeby dom był na poziomie. Przychodzili Wojtek Pokora, Piotruś Fronczewski z burzą włosów, Marek Kondrat, Halina Mikołajska z Marianem Brandysem, Dudek Dziewoński, który u nas poznał swoją ostatnią żonę Irenę, profesor Bardini, profesor Kotarbiński, mnóstwo wspaniałych malarzy, muzyków... Miałem zeszyt, w którym wszyscy się wpisywali – niestety, gdzieś go posiałem. Udałem, że idę spać, a potem podczołgiwałem się jak Janek z „Czterech pancernych” pod drzwi i słuchałem rozmów. Pamiętam, jak odbyło się u nas w domu pierwsze słuchanie Boba Dylana, którego płytę dziadek przysłał mamie ze Stanów. Mama zaprosiła gości, zrobiła fondue i słuchali. Oceniali, dyskutowali, jednym się podobało, innym nie.

A panu?

– Nie. I dziś też nie. Ja kocham reggae. ●

ATAK PANIKI
reż. Paweł Maślona
PREMIERA 19 STYCZNIA
PODATEK OD MIŁOŚCI
reż. Bartłomiej Ignaciuk
PREMIERA 26 STYCZNIA